



ŚNIEŻKOWSKA-BIELAK ELŻBIETA

DOM Z DZIECIŃSTWA

JELENIA GÓRA 2009

Godło „Ciepliczanka”

Ten dom śni mi się do dzisiaj. Stoi w Cieplicach przy jednej z ulic willowej dzielnicy. Otacza go zieleń bujna i soczysta. Ale to wszystko już jest nowe. Nowe trawniki i większość nowych drzew i zupełnie nowe krzewy przed domem. A ja pamiętam jak przed tym domem rósł ogromny srebrny świerk, pełen ptasich gniazd i nawoływań. Wspominam, gdy jako mała dziewczynka budziłam się często, słysząc pohukiwanie sowy pójdzki, a nad ranem chór ptaków witał razem ze mną dzień. Pod tym świerkiem stała drewniana duża piaskownica, zwana przez wszystkich nie wiadomo, dlaczego „kojcem”. W Tym „kojcu” bawiłam się od najmłodszych lat. Zwoływałam dzieci z sąsiedztwa i zwykły drewniany czworokąt zamieniał się w zaczarowany pałac z bajki, albo w przytulny dom, w którym grzecznie spały ułożone do snu lalki. Czasem był też sklepem z wielką ilością wymyślonych naprędce towarów, a niekiedy okrętem na wzburzonych falach oceanu.

Obok kojca” były grządki, pracowicie uprawiane przez moją matkę, a dalej ścieżka, najbardziej zaczarowana. Od ulicy odgradzał ją żywopłot rosnący przy żeliwnym płocie zakończonym metalowymi lilijkami. Samym środku żywopłotu rósł dąb, wielki i mocny, rodzący jesienią żołędzie, które zbierałam do koszyczka, by później robić z nich żołędziowe ludziki. Pamiętam jeszcze dotyk chropowatej kory, gdy przeciskałam się, jako dziecko między gałęziami żywopłotu, by stanąć pod tym silnym, mocnym drzewem i bezpiecznie wyglądać spoza żeliwnych prętów na cichą willową ulicę, która wtedy była dla mnie wielkim, magicznym światem.

Stałam teraz, już dorosła, przepędzona przez życie kobieta, przed tym domem, który był obecnie ogrodzony siatką i zabrakło już tamtego żywopłotu, i dębu, którego umieranie po regulacji ulicy przeżyłam bardzo w wieku osiemnastu lat.

Był za to balkon, duży, murowany, na którym tak bardzo lubiłam bawić się, jako dziecko. Miałam w pamięci skrzynki z kwiatami szalwii, które pielęgnowała moja mama i drewnianą kratownicę na podłodze. Pamiętam też duży, drewniany leżak, na którym

siadałam letnimi, ciepłymi wieczorami, by oglądać jaskółki szalejące po wieczornym niebie różowym jeszcze od słonecznej poświaty. Z balkonu wchodziło się przez duże oszklone drzwi do stołowego pokoju, urządzonego antycznymi meblami. Widziałam oczami wyobraźni bruchaty kredens pełen lśniących szklanek i kieliszków oraz duży, masywny stół przykryty żółtą haftowaną serwetą. Przebiegałam w myślach pokoje, wchodziłam do dużego przedpokoju, na końcu, którego znajdował się drugi balkon. Obok prowadzących tam dwuskrzydłowych drzwi stał domek dla lalek, który dostałam na drugie, czy trzecie urodziny od chrzestnej matki. Ten domek był moją chlubą i dumą. Żadne dziecko z sąsiedztwa nie miało takiego.

Domek składał się z dwóch pokoi i strychu. Kuchnia była wyklejona tapetą w zieloną kratkę, a pokój miał ściany różowe, z deseniem w kwiaty. Z kuchni do pokoju prowadziły prawdziwe, miniaturowe drzwi, a w oknach były szyby z celuloideu i na zewnątrz których pyszniły się śliczne, zielone okiennice z wyciętymi serduszkami.

Był to całkowicie mój świat. Nie dopuszczałam do niego nikogo. Tutaj ustawiałam lalczyne mebelki i sama wymyślałam zabawy.

Domek ten miał jeszcze jedną wymyśloną przeze mnie właściwość. Nieopatrznie zdradziłam ją Bohdanowi, najbliższemu kuzynowi, a później i innym, zaprzyjaźnionym dzieciom.

Otóż czasami stawał się on domową zjeżdżalnią. Gdy się weszło na wiklinowy, stojący za nim kufer, można było się wdrapać na kolanach na spadzistą część dachu, by zjechać sobie spokojnie po drugiej jego części, skacząc na podłogę. Do dziś zastanawiałam się, jak moja biedna mama, a szczególnie babcia, znosiły hałas i pisk, który powstawał podczas tej niesamowitej zabawy.

Stałam tak przed tym domem z marzeń i ciągle przychodzących snów i przypominałam sobie święta, choinki, które ubierałam z ojcem, rodzinne zjazdy noworoczne i dorastanie w ciepłe miłości najukochańszych rodziców.

Przypominałam sobie też myśli, które zaczęły mnie nawiedzać już w szkole średniej. Myślałam o tym, jakie były dzieje tego domu wcześniej

- Może tutaj także mieszkała kiedyś jakaś mała dziewczynka, która wzrastała w tych ścianach? - Zastanawiałam się wtedy. - Może i ona kochała ten srebrny

świerki chóry ptasie o świcie, a sierpniowymi wieczorami patrzyła na jaskółki śmigające po różowe poświacie nieba?

Kiedyś te rozmyślenia kończyły się stwierdzeniem, że przecież, jeżeli była taka dziewczynka, to nie lubiła Polaków. Była przecież małą Niemką i rosła w atmosferze hysterii narodowego socjalizmu. Może jej ojciec, albo wuj „polowali” gdzieś na polskich chłopców z AK?

Wracały jednak one do mnie często. Zastanawiałam się wtedy nad tym, czy taka moja równolatka, żyjąca w trudnych, wojennych czasach też umiała kochać te majaczące na horyzoncie góry? Czy, podobnie jak ja, chodziła z rodzicami na Chojnik, zwany kiedyś, za Niemców Kynast?

Czy jeździła nad wodospad „Szkłarka”, albo wdrapywała się na Śnieżkę? Czyjej rodzinne Warmbrunn, było dla niej tak samo ważne, jak później dla małej Polki były ważne Cieplice? Stałam tak teraz i patrzyłam na ten dom i na jego tajemnice, które znałam od najmłodszych lat. Na okienko strychu, który był dla mnie zawsze magicznym miejscem i na okna piwnic, które pamiętałam, jako mroczny świat szarości i ciemna.

Okna od piwnic były umieszczone pod werandą sąsiadów. Mógł wejść pod nią tylko mały człowiek i to dobrze pochylony. Kamienna podłoga pod tą werandą dzwoniła. Już nigdy potem nic nie dźwięczało tak tajemniczo.

Nagle obejrzałam się. Zauważyłam obcą kobietę również przyglądającą się temu budynkowi. Kobieta była dużo starsza ode mnie, siwa, w beżowej kurtce, z plecakiem na plecach.

- Podoba się pani ten dom - zapytałam.
- Ich wohnte hier- odpowiedziała.
- Pani tu mieszkała?
- Ja. Ich verstehe polnische Sprache, aber... nicht viel.
- Ja też tu mieszkałam. Miałam rok jak się tu sprowadzili moi rodzice. Tu nauczyłam się chodzić.
- I ja auch. Ja tu miała zehn rok jak wyjechała z Warmbrunn - odpowiedziała łamaną polszczyzną Niemka.

- Też Pani kochała ten dom, podobnie jak ja?
- Ja, das war meine liebe Welt.
- Ja także mówię po niemiecku, ale już sporo zapomniałam – powiedziałam do starszej.

Zapraszam panią na kawę. Na Placu Piastowskim jest kawiarnia. Chodźmy, porozmawiamy. Wyszłyśmy na Cieplicką. Trochę ze wstydem patrzyłam na szare elewacje kamienic, pokryte liszajami odpadającego tynku. Niemka także patrzyła na te domy i na tę ulicę.

- Das ist die Hermdorfstrasse - powiedziała cicho w zamyśleniu.
- Oh, entschuldigen Sie - powiedziałam - nazywam się Anna Sadowska – i wyciągnęłam rękę do nieznajomej.
- Ach so!-uśmiechnęła się kobieta .-Ich bin Helga Koenig
- No to się już znamy - powiedziałam.

Weszłyśmy na Plac Piastowski, gdzie na rogu, tuż obok Parku Zdrojowego znajduje się elegancka, piętrowa kawiarnia.

- Hier war... tu była auch ein Cafe - powiedziała z radością moja towarzyszka.
- Jak ja tu mieszkałam, to był tu sklep z butami. Das Schuhgeschäft - objaśniłam.

Roześmiałyśmy się obie.

Po chwili siedziałyśmy już nad filiżankami aromatycznej kawy.

- Ich... ja długo tęskniła, ja kochała te Riesengebirge, und dieses Bad. MeinVater pracował In der Graff Schaffgotsche Badeverwaltung.

Rozmawiałyśmy to po polsku, to po niemiecku. Z opowieści Helgi dowiedziałam się, że Jej ojciec był urzędnikiem w Zarządzie Uzdrowiska w Warmbrunn, a matka pielęgniarką w szpitalu. W latach wojny matka pielęgnowała rannych żołnierzy, którzy tam wówczas leżeli. Wszystkie obiekty uzdrowiskowe były przeznaczone wtedy na szpital dla ofiar

wojny. Małą Helgą opiekowała się babcia - Polka ze Śląska, stąd dziewczynka pamiętała niektóre zwroty i wyrażenia po polsku. Nieco także rozumiała.

- Meine Grofmutter war eine gute Frau. Sie sang mir polnische Lieder. -I tu Helga zanuciła pochodzącą ze Śląska piosenkę znaną i z mojego dzieciństwa „Chodź do mnie, chodź do mnie, rączkę mi daj”. I chociaż śpiewała, „choć” i “rączkę”, to bardzo mnie tym wzruszyła.

Ona także kochała te łąki za naszą ulicą i zielone „wały” i tamę, wzniesioną przez jej rodaków na rzece Wrzosówce i pamiętała błękitny grzebień jej Riesengebirge, a moich Karkonoszy, wznoszący się na południu Kotliny. Wojna nie sprzyjała wycieczkom, ale nawet w czasie jej trwania Cieplicach było spokojnie. I właściwie tylko obecność wielu rannych żołnierzy, o których opowiadała jej matka, wracająca z dyżurów, a także komunikaty radiowe o sytuacji na froncie i rozmowy dorosłych kazały małej niemieckiej dziewczynce pamiętać o tym, że dzieje się coś bardzo ważnego, ale i groźnego. Jednak Helga pamiętała jeszcze sprzed wojny wędrowki z rodzicami na Kynast i na Schneekope. Było ich jednak niewiele. Dziewczynka spędzała większość czasu z matką ojca - Polką Kariną Schulz, która przed wojną wyjechała z rodzinnych Katowic i trwała przy mężu, ucząc w tajemnicy wnuczkę polskich piosenek i mówiąc do niej po polsku, a trochę i po śląsku. Rodzice Helgi nie byli nacjonalistami, byli jednak patriotami, więc dziewczynka rosła w dziwnym rozdwojeniu polsko- niemieckim, wiedząc jednak, że jest Niemką.

Z rodzinnego miasta wyjechała w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku do Solingen. Jako dorosła już kobieta przeniosła się do Norymbergi. Tam poznała swojego męża. Obecnie, po zjednoczeniu Niemiec, mieszkają z mężem i jedynym synem w pięknych Górach Harzu w malowniczej miejscowości Wernigerode.

- Das ist mein neues Warmbrunn - mówiła z rozrzewnieniem Helga.
- To było bardzo smutne - opowiadała później, a ja słuchałam.

Starałam się łowić każde niemieckie słowo i odgrzebywałam w pamięci jego znaczenie. Ojciec Helgi zapowiedział wyjazd. Wielu Niemców, szczególnie urzędników państwowych, wtedy wyjeżdżało. Nie wiedziała jak to załatwić, ale pamiętała wielkie pakowanie. Dom pełen był skrzyń i pudeł. Jeszcze wtedy nie było tak jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, kiedy wysiedlani Niemcy zabierali z sobą tylko

tyle bagażu ile zdołali udźwignąć. Rodzice dziewczynki często zamykali się w pokoju w północnym skrzydle mieszkania i długo rozmawiali. Helga z przerażeniem patrzyła na okna bez firanek, ściany, z których zdjęto obrazy, na ogród pełen kwiatów, których już nie będzie z babcią podlewać. Nie chciała wyjeżdżać. Wychodziła na podwórko i siadała w „moim” kojcu, który zrobił dla niej znajomy stolarz. Przytulała buzię do pnia potężnego świerku, w którym gnieździło się również wtedy tak wiele ptaków i bała się nieznanego. Czasem stawiała przy wielkiej, żeliwnej bramie i patrzyła w dal na siniejący grzbiet Karkonoszy. Zdawały się jej smutne i milczące, jakby i one przeczuwały ból rozstania. Wreszcie pewnego dnia wsiadła do ojcowskiego auta i pojechała z rodzicami i babcią na dworzec. Pamiętała straszny hałas, gwizd odjeżdżających pociągów, tłok i rękę matki, która mocno trzymała jej małą rączkę. Wówczas i ja przypomniałam sobie naszą wyprowadzkę z tego domu. Byłam w tym czasie starsza od Helgi, miałam chyba... szesnaście lat. Już wtedy zaczęłam pisać wiersze. Pamiętałam ten na pożegnanie tego mojego domu.

*Rysuję palcem
przestrzeń między piecem, a szafą
zbieram ze ścian słoneczne plamy
przytulałam się do ścian
które mnie kochały
i wiem
że będę tęsknić...*

I tęskniłam. Zawsze tęskniłam. Mieszkłam później w wielu mieszkaniach i w wielu miastach, ale żaden dom nie śnił mi się po nocach tak jak ten. Helga też mi o tym powiedziała. Wypiłyśmy kawę i zaczęłyśmy się zbierać. Byłyśmy już niemłode, do niedawna tak bardzo sobie obce. To spotkanie i nasze opowieści sprawiły, że poczułyśmy pewną więź, którą tylko my mogłyśmy zrozumieć. Zaprzyjaźniłyśmy się. Helga była tutaj z mężem na kuracji. Cały czas, popołudniami wędrowała znanymi i już nieznanymi uliczkami wspomnień. Przeżywała sentymentalną podróż w lata dzieciństwa. Podobnie i ja przyjechałam tu z Krakowa, gdzie teraz mieszkalam.

Przyjechałam do znajomych, ale także chodziłam po moich magicznych miejscach z dziecinnych lat, odkrywałam tylko mi znane ścieżki i zakątki. Moi rodzice nie mogli

kiedyś wrócić do Lwowa i przeżywać takiej wędrówki we wspomnienia. My z Helgą już możemy rozmawiać spokojnie nie tylko o tym, co nas dzieli, ale i o tym, co łączy.

Ustaliłyśmy, że pokój w zachodnim skrzydle „naszego” domu, był też „naszym” dziewczęcym pokojem. Jaka szkoda, że ona nie miała tego domku dla lalek! Ale i tak jest, o czym rozmawiać. We wrześniu jadę do Wernigerode. Helga zaprosiła mnie do siebie. A ja obiecałam ją oprowadzić w najbliższej przyszłości po starym, polskim Krakowie.